Londyńskie spotkania po dwóch stronach oceanu

Stefan Kisielewski, fot. culture.pl

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Zaraz po wojnie nie łatwo było odwiedzać Anglię. Do pierwszych gości w Londynie należał **Leopold Tyrmand**. Pamiętam jak go przyjmowaliśmy, jako autora głośnego już "Złego", a on popisywał się kolorowymi skarpetkami i buńczucznym oświadczeniem, że ks. kardynał Wyszyński i on byli prawdziwymi przywódcami młodzieży polskiej.

Przyjechał też **Jerzy Zawieyski**, którego pamiętam za strofowanie nas, że krytykujemy społeczeństwo polskie, które przecież żyło w innych warunkach. Zdumiało mnie jego prawie konspiracyjne pytania, czy w Londynie może on po prostu wejść do sklepu i kupić ubranie bez talonu i jakiegoś zezwolenia.

W Londynie często spotykaliśmy się w restauracji i kawiarni Dakowskiego blisko kolejki podziemnej South Kensington, bo była blisko polskich instytucji takich jak Ognisko Polskie, Instytut gen. W. Sikorskiego czy Brampton Oratory. Wspominam picie kawy po wykładach na Polskim Uniwersytecie Na Obczyźnie z **Józefem Bujnowskim**, **Wandą Chruściel**, **Krystyną Cywińską**, **Marią Nowakowską**, **Wojciechem Gniatczyńskim**, **Ferdynandem Goetlem, Zygmuntem Ławrynowiczem** czy **Napoleonem Sądkiem**, żeby wymienić kilka nazwisk. Goetel relacjonował rozmowę na granicy, kiedy wyjechał z Polski. Nie pamiętam, czy chodziło o wizę holenderską czy paszport. Dość, że celnik na granicy oddał mu paszport ze słowami: n*o, to leć pan, latający Holendrze.*

Ze **Stefanem Kisielewskim** mówiłem o muzyce. Byłem ciekaw, kogo widział na polskim firmamencie jako najjaśniejszą gwiazdę wśród młodych kompozytorów. Wymienił **Henryka Mikołaja Góreckiego**. Wtedy było to dla mnie nowe nazwisko, ale niedługo później jego trzecia symfonia pieśni żałosnych podbiła świat. Kiedy na początku któregoś grudnia znajdowałem się w kalifornijskim Palm Springs, lokalne amerykańskie radio nadało Góreckiemu życzenia urodzinowe i emitowało jego sławną symfonię, w której Amerykanka Dawn Upshaw piękną gwarą śląską czarowała słuchaczy

Miło mi było, że współczesny Polak cieszył się takim mirem i natychmiast pchnąłem do niego list z dobrą wiadomością.

***

Potem odwiedzałem **Stefana Kisielewskiego**w Warszawie. Gościlem go też w ontaryjskim London po przeprowadzce za Atlantyk.

Pracując na uniwersytecie Western, zaprowadziłem Kisiela na wydział muzykologii. Tam, nie znający angielskiego gość, w języku niemieckim przemówił do nauczycieli akademickich. Jeden z nich, rodem z Austrii, skwapliwie tłumaczył jego słowa kolegom. Niemniej wnet mina mu zrzedła, kiedy na zapytanie o socjalizm, Kisiel bez ogródek nazwał go ustawiczną

improwizacją.

Wolontariusz bardzo się napocił, by złagodzić ostre wypowiedzi gościa zza Żelaznej Kurtyny, używał bardzo dowolnego tłumaczenia i uciekał się do naróżniejszych eufemizmów, by przedstawiany obraz nie pogrążał oczekiwań naiwnych fanów utopii.

W London Kisielewski w pułkowniku **Czesławie Czajkowskim** rozpoznał swojego dowódcę z września 1939 roku, którego wspomina w swojej powieści “Sprzysiężenie”. Później z Warszawy pisaliśmy wspólnie do niego pocztówkę, na której Kisiel meldował się jako dawny podchorąży.

Stefan Kisielewski:

https://www.cultureave.com/kasztan-kisiela/

Henryk Mikołaj Górecki:

https://www.cultureave.com/otrzymany-czas-musisz-godnie-przez

yc-henryk-mikolaj-gorecki-1933-2010_/

Pułapka Odysa. Wspomnienie o Zygmuncie Ławrynowiczu (1925-1987).

Mozaika przedstawiająca Odysa z eposu Homera, Muzeum Bardo, Tunis.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Kiedy Zygmunt Ławrynowicz przyniósł mi do druku w „Kontynentach” w 1963 roku swoje rozważania nazwane „Odys w pułapce”, nie przewidział, że użył pochopnie tytułu, że w przyszłości sam znajdzie się w sytuacji aż proszącej się o takie właśnie nazwanie.

Bo jego „Odys w pułapce” traktował głównie o pisaniu w diasporze, o znaczącej twórczości literackiej na emigracji. Chodziło o sens działalności na obczyźnie nie tylko pisarzy, którzy z Polski wyjechali już ukształtowani i pragnęli kontynuować swój fach, ale także o młodych, nie pamiętających swojej ojczyzny, a nawet douczających się języka za granicą, którzy też mieli ambicję pisać po polsku i potykać się w sztafecie twórców.

Te zagadnienia Ławrynowicz poruszył posługując się wypowiedziami Miłosza i Łobodowskiego. Obaj bowiem twierdzili, że twórczość w języku ojczystym jest możliwa gdziekolwiek, że nie jest ważny kraj zamieszkania piszącego.

Łobodowski przywołał wtedy losy ukraińskiego poety Małyniuka mieszkającego w Nowym Jorku. Komentował:

> Potencjalnie każdy człowiek jest w stanie zdobyć się na przezwyciężenie swego losu. Każdy człowiek, więc tym bardziej, artysta.

Ławrynowicz rozróżniał tzw. dolę ludzką, sytuację człowieka w świecie, od sytuacji pisarza, który w oderwaniu od macierzy, usiłuje kontynuować ambitną twórczość literacką. Aktywność poety Małyniuka była dla niego

> rozpaczliwym krzykiem Odysa, który wie, że nie dopłynie do Itaki i musi umrzeć na obcym brzegu z braku powietrza.

Na emigracji widział tylko pozory działalności.

> Literatura postuluje autora, krytyka i odbiorcę, innymi

> słowy, potrzebne jest jej żywe zaplecze rozwijającego się narodu, aby mogła w pełni zaistnieć. I musi to być twórczość dojrzała, bez taryfy ulgowej. Opiekuńczość prowadzi do mumifikacji, a więc do klęski duchowej.

Przewrót w literaturze, w poezji dokona się gdzie indziej, tu szelest papieru, w kraju oblicze poezji ukształtowali młodzi.

Emigracji wróżył:

> Z małymi wyjątkami będzie to przykładem heroicznego grafomaństwa, poezja odcięta od swoich źródeł.

Powieści właściwej nie będzie. Ławrynowicz, podobnie jak wcześniej Darowski, nie wróżył żadnej przyszłości polskiej powieści na emigracji. Dowodził, że środowisko uchodźcze od środowiska tubylczego dzieli szklana ściana. Nie przenikają się wzajemnie. Uchodźcy, podobnie jak turyści, skazani są na wieczne oglądanie fasady. Nie dla nich są kulisy życia lokalnego.

Przyjrzawszy się doświadczeniom innych, Ławrynowicz konkludował:

> Jest moim głębokim przekonaniem, że partycypować w twórczym życiu ludzkości za pośrednictwem słowa pisanego możemy tylko poprzez twórczy udział w życiu własnego narodu.

Młodym emigracyjnym pisarzom wskazuje jedynie okrojone możliwości. Nie dla nich lwia część literatury. Mogą próbować eseistyki, krytyki, przekładów. I widzi ich jak alpinistów, którzy w porywie młodego entuzjazmu bez oglądania się na trudności „wdarli się na skalną ścianę i utknęli w połowie". Nie mają odwrotu, zaczynają rozumieć ogrom trudu potrzebny do pokonania tej góry. Nie wszyscy dojdą do szczytu. Ławrynowicz, sam zapalony alpinista, pisze dwuznacznie o ewentualnym zwycięstwie, o gorzkiej, bezużytecznej i nieprzydatnej wiktorii. Tacy śmiałkowie pocieszają się poczuciem, że od miernoty ocalili własne dusze.

W liście z 1972 roku, kiedy już byłem w Kanadzie, informował o innych kolegach z naszej grupy. O Czaykowskim wspominał:

> Niestety woda sodowa zrobiła swoje. Przed paru laty był w Londynie i łaskawie spotkał się ze mną w knajpie. Sztywny i nadęty dał mi do zrozumienia, że o ile kiedyś byliśmy kolegami i pracowaliśmy wspólnie, to teraz wszystko już jest

> inaczej i „każdy sobie” jak się wyraził. Pożegnałem go bez żalu.

Z kolei Czaykowski w opublikowanym liście do Marii Danilewicz Zielińskiej bardzo na Ławrynowicza wybrzydzał nazywając biadanie nad niemożliwością powieści na emigracji „impotentnym artykulasem”, a jego autora „rudą goryczą”, ciesząc się równocześnie, że „Kontynenty” pod moją redakcją się nie rozkręciły. „Nawet biskup Śmieja nie potrafi uczynić z nimi cudu”.

Dodam, że tylko kilkakrotnie odwiedziłem Czaykowskiego w Kanadzie z powodu odległości do Vancouver. Z czasem jednak te rzadkie „wizytacje biskupie” spotykały się ze stygnącą zachętą do nich, a nawet Busza też już nie znajdował czasu na spotkanie. Kiedy natomiast Czaykowski przybył do Toronto na fundowany wykład, był zaskoczony moją obecnością wśród szczupłego audytorium.

> Nie wiem, czy czytałeś ostatnią wypowiedź Darowskiego w „Wiadomościach” informował dalej Zygmunt – gdzie ubolewa nad naszym ubóstwem kulturalnym i żali się, że w naszym języku, który tyle posiada nieharmonijnych zespołów spółgłoskowych, nie można stworzyć nic godnego uwagi. Są to, jak mnie się wydaje, żale niedouczonego faceta, który

> zafascynowany bogactwem języka angielskiego zwątpił w polskość... Rozmaici ludzie nagabują mnie, abym zaczął pisać po angielsku, ale na to nie pójdę, bo zbyt jestem związany ze swoim narodem.

I zdarzyło się, że ciskając się wśród niespodzianek niechcianego losu, Ławrynowicz znalazl się na owianej legendą greckiej wyspie Itace. O mitycznej Penelopie nikt już nie wspominał. Była natomiast „wysmukłonoga kobieta o oczach gazeli imieniem Helga, jasnowłosa pantera”. Powie o niej „ani ty Kirke, Kalypso czy Penelopa, masz własną duszę nieujarzmionej łani”. To greckie spotkanie znalazło dalszy ciąg w Walii. Szczególnie pamiętne były imieniny, które poeta tak zapisał:

> były to imieniny
>
> słodkiej pory życia

I nagle ta odurzająca wspólna radość się skończyła. Nastąpiło niewytłumaczalne milczenie. Niedawne zapewnienia ustały. Słodycz zamieniła się w piołun. Ukochane imię zaczęło budzić żal. Barwne „fatałaszki wspomnień” zastąpiło ciężkie milczenie. A jednak zawiedziony poeta czekał na znak, choćby cios ostateczny. Odeszła ukochana w szpetność snu.

Gdzie indziej, w utworze „I odpuść nam” wyznał

> ozdrów sumienia ślepe, gdy pędząc na oślep za urokliwą kraską doczesnych przywidzeń padamy łatwo łupem zwodniczej syreny.

Dziś możemy jedynie domyślać się pod nieobecność świadectw czekających na publikację, jakie były koleje życia. Kiedy w 1975 w liście pisał:

> Jadę do Walii Północnej w góry i mam szczery zamiar mocno przebierać nogami od Wielkiej Soboty do końca przyszłego tygodnia. Jeżeli przyjadą młodzi znajomkowie, będę dla nich przewodnikiem,

to ten lakoniczny przekaz był być może preludium do przełomowych wydarzeń w życiu Zygmunta.

Równocześnie z lamentem o epizodzie z Helgą „Trujące jagody”, Ławrynowicz wydał swoje skargi i lamenty w zbiorze „Anglo-Babilon”. Wśród inwektyw i żalów, w sztafarzu turpistycznych elementów napisał otwarcie charakteryzując siebie:

los obszedł się z tobą

po macoszemu

ani złota ani korony

nawet tej z liści

jakie czasem zdobią

czoła pieśniarzy

pomazańców ludu

.....

nie dla ciebie dom

w którym kobiece dłonie

porządkują niesforną

grzywę codzienności

Brak docenienia jego poetyki i uciążliwość życia bez towarzyszki, w połączeniu z pracą w znienawidzonym świecie interesów, stworzyły odludka, który dusił się w jadach pułapki, jaką jego samotność sączyła nieustannie.

Zygmunt Ławrynowicz, fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL-u.

Komentatorom tekstów poetyckich Ławrynowicza chcę wyjaśnić, że fragment wiersza „Ośmielam się wadzić z Tobą” –

> ośmielam się pytać ciebie Panie –
>
> słowami tego poety z Madrytu
>
> którego głos uwiązł jak cierń w sercu moim –
>
> dlaczego każesz abym gnił w tym mieście
>
> o wiele większym niż stolica Hiszpanii
>
> dla jakich ogrodów i pod jakie kwiaty
>
> przeznaczyłeś zgniliznę mojej duszy i ciała?

– mówi o poecie hiszpańskim Dámaso Alonso (1898-1990), którego wiersz tu wzmiankowany „De profundis”, przełożyłem i wydrukowałem w „Więzi” 7/8 w 1961 roku.

Modlitwa nie przyniosla Ławrynowiczowi ulgi, nie potrafił szukać ratunku u przyjaciół kompletnie nieświadomych tragicznej sytuacji psychicznej poety. Przesycone retoryką wołania o milionach twarzy i ani jednej przyjaźni potraktowano jako poetycką przesadę. Podobny los spotkał otwarte wyrzuty:

Zabrakło dla ciebie miejsca

przy pulsującym korycie

nikt nie pamiętał o tobie

kiedy przydzielano dziewczyny

fotele, nagrody i odznaczenia

Nie potrafił się pogodzić z tak niesprawiedliwie przeznaczonym losem Bo wedle swojej opinii pozostał

nieznany nikomu

> i mało potrzebny

Miał o to żal i w swoich modlitwach nie umiał okazać prawdziwej, skutecznej pokory, nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie otrzymał łaski rozumienia, łaski przyjaźni i miłości, o którą prosił, o piękno prawdy. Na nic zdały się błagania, gdy usiłował „łatać podartą duszę”. Oglądał innych ludzi radzących sobie ze światem, przyjmujących rutyny i inne hańbiące obrzędy.

Tacy ludzie chwalili swój chleb codzienny „z plastyku”.

> Jego świat spokojny
>
> uporządkowany
>
> zbilansowany
>
> ubezpieczony
>
> godny pochwały i emerytury

> jest filarem tego innego świata
>
> w którym dzieją się sprawy
>
> o których on nie ma pojęcia
>
> więc sen ma niezakłócony
>
> i skromne marzenia

Oni nie cierpią na rozterkę jego serca i tęsknotę nie dającą się ukoić, przeczuwającego najgorsze:

> u kresu drogi
>
> głodny
>
> samotny
>
> i nagi
>
> pod niebem milczącym

> nad zastygłą ziemią

Dumne odrzucanie codzienności spowodowało utknięcie na nieprzyjaznej ścianie skalnej. Nie doczekał się ratunku, padł ofiarą nieużytego losu. Znalazł się w pułapce bez wyjścia. A żalił się w jednym z listów

> Z melancholią rozważam, ile to lat przemarnowałem zarabiając pieniądze po to, aby mieć z czego żyć i równocześnie nie mieć czasu ani możliwości, żeby żyć naprawdę.

Nie doczekał spełnienia się gorącej modlitwy:

> proś na kolanach
>
> o łaskę powietrza
>
> w zatęchłych zaułkach
>
> gasnącego wieku

> o łaskę miodu
>
> co beczki goryczy
>
> przemienić zdoła
>
> w ucztę galilejską
>
> pustynie ludzi
>
> w winnice aniołów.

Zygmunt Ławrynowicz *polski poeta emigracyjny, tłumacz poezji i prozy, publicysta i redaktor pism, urodził się na Litwie Kowieńskiej i tam spędził młodość, kończąc gimnazjum w Poniewieżu. W 1943 roku został wywieziony na przymusowe roboty do Niemiec skąd zbiegł przez Jugosławię do Wielkiej Brytanii. Studiował ekonomię i nauki polityczne w University College w Dublinie, a od 1952 roku pracował w banku Loyds w Londynie. Następnie został redaktorem „Życia akademickiego" (1953-1954). Należał do redakcji „Merkuriusza Polskiego", a w latach 1958-59 współredagował „Życie" i współpracował z „Więzią", i „Kontynentami". Był współtwórcą*

grupy poetyckiej „Kontynenty” (1959-1964). Znał biegle co najmniej osiem języków i dzięki temu znakomicie orientował się w literaturze światowej. Zmarł młodo i nagle w Londynie w 1987 r. (na podst. Wikipedii).

Pisarz, który nie zasłużył na zapomnienie. Jan Bielatowicz

(1913-1965).

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Będąc jeszcze na studiach w Irlandii nawiązałem kontakt z londyńskim tygodnikiem „Życie” redagowanym przez szereg lat przez Jana Tokarskiego, a po nim Jana Bielatowicza. Tego ostatniego poznałem osobiście podczas jednej z wizyt w redakcji zapewne za pośrednictwem pracujcącego tam kolegi z Irlandii, krytyka i poety, Wojciecha Gniatczyńskiego.

Czy Bielatowicz był oryginałem? Na drzwiach pokoju redakcyjnego wisiała kartka z apelem do interesantów, aby, nim wejdą, zastanowili się nad celowością wizyty osobistej. Jeżeli nie była ona konieczna, to niech napiszą list, który redaktor mógł przeczytać w wygodnym dla siebie czasie. Jeżeli śmiałek przeszkodę pokonał, to zastał siedzącego nad stertą papierów czerstwego pana o rudej, kędzierzawej czuprynie. Ponoć w koszu redakcyjnym stała butelka z winem, z której dało się pociągnąć trochę inspiracji.

Jan Bielatowicz, fot. Tarnowski Kurier Kulturalny.

Bielatowicz był autorem antologii poezji żołnierskiej, tomu opowiadań z czasów włoskiej kampanii i uroczych wspomnień z rodzimego Tarnowa pt. „Książeczka”. Ale najżwawiej władał piórem krytyka i to nie tylko w materii literackiej. Był sarmatą co się zowie i miał swoje predylekcje i antypatie. Przywiązany do tradycji i historii polskiej, stał się Rejtanem ich wartości podejrzliwie węsząc raz po raz wpływy moderny. Na tle bladej krytyki emigracyjnej był postacią kontrowersyjną i czupurną. Potrafił odsądzić od czci i wiary i tym samym szerokim gestem rozdawał laurki. I tak o powieści Józefa Mackiewicza „Droga

donikąd” powiedział śmiało:

> Jest to bowiem najpiękniej napisana powieść powojenna.

O tomiku Łobodowskiego „Z dymem pożarów”:

> Jest to bowiem najpiękniejsza i najwznioślejsza liryka polska piętnastolecia, od dni klęski aż po dzień dzisiejszy.

Bielatowicz nie wyczerpał na tym zasobu superlatywów. Niedługo potem napisał o zbiorze wierszy Wierzyńskiego „Korzec maku”:

> Jest to bodaj najwybitniejszy tom poezji polskiej, jaki pojawił się na obczyźnie po roku 1939.

Piszący te słowa także doczekał się pochwał za swoja twórczość naukową i przekładową. Nie znaczy to jednak, by Bielatowicz nie potrafił strofować poczynań np. grupy młodych pisarzy, do których wówczas należałem. Zresztą tolerancja pozwalała nam drukować jego cierpkie uwagi w naszym własnym piśmie „Kontynenty”, uwagi krytykujące naszą poezję i publicystykę. Na

wieczorze poświęconym tematowi „Czy pogrzebać ‘Kontynenty’”, Bielatowicz bez ogródek zacytował Słowackiego:

> „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy”. Dęby i pomniejsze drzewa starego lasu naszej literatury padają jedno po drugim, co rok, co miesiąc, co tydzień. Las tak już przerzedł, że można mówić raczej o reliktach. Czy więc nie czas porzucić ogródki działkowe i poetyckie poletka doświadczalne, a zająć miejsca tam, gdzie rośnie las? Czy nie czas stać się lasem?

Anglia. Jan Bielatowicz z żoną na spacerze, fot. Tarnowski Kurier Kulturalny.

Postawa twardego emigranta politycznego nie przeszkodziła Bielatowiczowi bardzo wcześnie zająć stanowisko odważne i światłe, gdy radził nie zrywać łączności z krajem.

> ...Jakąż zatem rolę pożyteczną dla całego narodu spełnić może jego emigracja? Śmiertelnym i samobójczym grzechem byłoby odwrócenie się od Kraju. Polska mimo

> niewoli nie przestała być ojczyzną naszej duszy. Żyje nadal, walczy, tworzy. Z czcią i zdumieniem podejmujemy na obczyźnie okruchy dochodzące z ojczyzny. Dochodzą stamtąd liczne świadectwa, że Polska nie przestała być twórczą i ambitną siostrą kultur zachodnich. Podstawą naszego działania kulturalnego musi pozostać twórczość w Kraju. W oderwaniu od niej bylibyśmy dla niej bezużyteczni.
>
> Zadania polskiej emigracji kulturalnej są dwojakie: dotrzymać kroku rozwojowi kultury w Polsce i próbować gromadzić i uzupełniać te dobra kulturalne, których Kraj nie może dziś wytworzyć. Troskę o przyszłość pozostawmy Krajowi. Da on sobie radę z pokostem obcych wpływów, gdy przyjdzie stosowna chwila. Owszem powinniśmy przechować szacunek dla ideałów kultury i tradycji narodowej, ale nie wolno nam ulegać złudzeniom, że jesteśmy ich wyłącznymi kapłanami.

Artykuły i szkice rozproszone w gazetach i pismach czekają na wydanie książkowe, aczkolwiek w tomie „Literatura na emigracji” (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1970) żona pisarza zebrała niektóre teksty tyczące zagadnień literackich. Powtórzę za nią ostatnie, skromne słowa jej wstępu:

> Dobrze, że choć ta książka przypomni czytelnikowi pisarza

> emigracji – pisarza, który nie zasłużył na zapomnienie.

Tablica pamiątkowa na domu Jana Bielatowicza w Tarnowie, fot. Tarnowski Kurier Kulturalny.

Ach ci poeci!

Florian Śmieja

Witold Gombrowicz w swoim “Dzienniku” napomknął, że go źle czytam. Widocznie uważał, że powinienem obrać inną metodę. Zrobię to, jak czas pozwoli. Pisał do mnie w sprawie tłumacza, któryby potrafił przekładać jego teksty na język hiszpański. Próbowałem mu pomóc, ale nie wiem, czy ostatecznie z moich sugestii skorzystał.

***

Wymieniając kiedyś współczesnych polskich prozaików, którzy równocześnie byli autorami dobrych wierszy, otrzymałem list od **Józefa Wittlina** z Nowego Jorku, bym o nim nie zapomniał, bo i

on należał do tej kategorii. Nie tylko o nim pamiętałem, ale nawet odwiedziłem jeszcze znalazłszy się na amerykańskim kontynencie.

***

Wisławę Szymborską poznałem w redakcji “Tygodnika Powszechnego”. Kiedy wszedłem do pokoju Jerzego Turowicza, zastałem go z poetką, która akurat zdawała relację z podróży do Niemiec, gdzie odebrała nagrodę Goethego. Wręczyłem jej emaliowy znaczek w postaci miniaturowej kanadyjskiej flagi. Kiedy wysłałem jej artykuł z przełożonymi na język hiszpański jej dwoma wierszami z gazety kolumbijskiej, otrzymałem charakterystyczną kartkę z ryżym kotem i podziękowaniem. Teraz kot pilnuje mojego depozytu w Bibliotece Uniwersytetu w Rzeszowie.

***

Zaproszenie **Czesława Miłosza** do Londynu przez naszą grupę młodych poetów spotkało się z protestem przeciwników politycznych z **Zygmuntem Nowakowskim** na czele. To on w felietonie w “Dzienniku Polskim” z 3 października 1957 roku napisał

> To pewna, że odczyt nie powinien odbyć się w gmachu, przyozdobionym sztandarami wojska polskiego. Trzeba ten gmach wykadzić.

Jako redaktor miesięcznika, który Miłosza zaprosił napisałem wtedy list do “Dziennika Polskiego”. List się ukazał mimo, że Nowakowski był jednym z dyrektorów dziennika, a list nie był elegancki.

Atoli trzy lata po incydencie z Miłoszem, Nowakowski napisał felieton *Kula u nogi?* Był to błyskotliwy komentarz do dyskusji, jaką wówczas przeprowadziliśmy w naszym piśmie na temat języka zastanawiając się, czy w naszej sytuacji polszczyzna była dla nas najwłaściwsza, czy nie należało się od niej uwolnić i przylgnąć do języka angielskiego. Zygmunt Nowakowski ani przez momemt nie wątpił, że jednak zwycięży język polski.

Cytując fragment mojego przekładu hiszpańskiej prozy poetyckiej, nie szczędził mu najwyższych pochwał i zakończył tak:

> I czy ktoś, kto tak pisze, może kiedykolwiek wyrzec się pisania po polsku? Czy polszczyzna i polskość może być u niego kulą u nogi?

Mimo że widział, iż stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosi się do siebie z obojętnością i chłodem,nie miał wątpliwości co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował:

> Ona wykluje się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w męce, w wewnętrznym szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozwagi. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej, tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć.

I zakończył:

> A język, zamiast kulą u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu.

Po latach wiem, że przeczucia Nowakowskiego jednak go nie zawiodły, także w odniesieniu do mnie samego.

Pedagodzy Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

W pierwszych latach działalności Polskiego Uniwersytetu Na

Obczyźnie w Londynie, to znaczy w latach pięćdziesiątych, studenci mieli rzadką okazją, by słuchać wykładów znakomitych pedagogów sprzed wojny. Byli tam m.in. humaniści tej rangi co profesor Władysław Folkierski, Stanisław Kościałkowski, Stanisław Kott, Marian Kukiel, Stanisłw Stroński, Stanisław Świaniewicz czy Władysław Wielhorski.

Władysław Folkierski (1890-1961), fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, Wikipedia.

Jako świeżo upieczony filolog iberyjski zabrałem się do udowodnienia tezy Edwarda Porębowicza, wedle której oryginałów niektórych wierszy Sebastiana Grabowieckiego (1545-1607) należało szukać wśrtód poetów hiszpańskich. Zamknąłem się na trzy letnie miesiące w bibliotece *British Museum* w Londynie. Do ostatnich dni pilne poszukiwania nie przynosiły żadnego efektu. Pod koniec zacząłem lustrować autorów włoskich. Bodaj w ostatni dzień znalazłem poszukiwane oryginały u Bernarda Tassa (1493-1569) w jego “Salmi”.

Napisałem w te pędy artykuł o moim odkryciu. Konkludowałem w nim z triumfem:

> Z powyższego wynika, że Sebastian Grabowiecki hiszpańskiej literatury nie znał.

Profesor Folkierski, który mój tekst przeczytał z zainteresowaniem, z pochopną konkluzją się nie zgodził. Przyjął dopiero tekst, kiedy poprawiłem wniosek na:

> Jeżeli Sebastian Grabowiecki znał literaturę hiszpańską, to w jego twórczości nie znajdujemy żadnych śladów tej znajomości.

Niby to drobnostka, lecz wymagał precyzji zacny professor. I słusznie.

Trzeba zrozumieć porządek rzeczy. Józef Bujnowski (1910-2001). Część II.

Florian Śmieja

Józef Bujnowski, Włochy 1945 r., fot. arch. Heide Pirwitz-Bujnowskiej, żony poety.

Piękne są dalsze teksty z tomu „Spod gwiazdozbioru wielkiego psa” z 1987 roku: „Rozmowa w stylu pewnej epoki”, „Lęk”, „Motyw z ballad i romansów”, jakby w dowód, że Bujnowski potrafi pisać nie tylko wymyślne eksperymentujące igraszki, ale i wiersze konwencjonalne. Kamping we Włoszech koło Genui okazał się szczególnie bogaty w natchnienie. Poeta nie waha się wpleść prozaiczny odnośnik pozwalający zapisać w czasie liryczną miniaturę. I tak poeta chciałby zakupić Madonnę, którą

wyrabia lokalny artysta, cóż z tego:

> ale Wilson ograniczył ilość funtów
>
> które można zarobić i wywieźć za granicę

Wśród pejzaży pojawiają się także hiszpańskie, a Amsterdam autor zaprezentuje nam w postaci kolorowych przystanków. Przy jednym z nich w barze dyskutujących o imponderabiliach można spotkać osobników o nazwiskach Lubomir Dolezal i Józef Bujnowski.

Rewelacyjny jest dla mnie cykl wierszy z wyprawy do Grecji. Tu szeroka humanistyczna wiedza w połączeniu z szelmowskim humorem poety bryluje bezspornie. W wierszu „Jak to było w Olimpii” znajdziemy taki passus:

> hellanodikowie
>
> to takie litrerackie „juri”

> tylko mniej śmieszne niż np. w Londynie
>
> akademia grydzewskiego

W „Długiej i ważkiej rozmowie z Pytią” na cenzurowanym znalazły się różne formy wierszy:

> twój wiersz to wcale nie heksametr
>
> nie rymujesz według Dłuskiej
>
> ani nawet Pszczołowskiej

Kpi sobie również z uświęconych przekazów i pewników. W wierszu „Nad grobem w Mykenach” konstatuje poważnie:

> nogą ten grób odkryła koza

> wpadłszy jedna
>
> w szczelinę

Zaś w wierszu „Przed hekatompedonem” na swój sposób tłumaczy narodziny Ateny:

> a mój łacinnik mówił mi
>
> że Hefajstos
>
> uderzając potężnym toporem
>
> w głowę Zeusa
>
> powołał ją do życia
>
> to było takie na owe czasy
>
> cesarskie cięcie

Tomik „Spod gwiazdozbioru” doskonale reprezentował poezję Bujnowskiego, a ton i forma tych wierszy świadczą o jego dojrzałości poetyckiej, o ograniczeniu eksperymentowania, nie epatowania, rzadkim darze pisania zwyczajnego wiersza

> o miłości
>
> na co dzień

Poeta pokazał zdolność uchwycenia trafnego słowa, jak w „Erotyku” pod koniec tomiku.

Odnotujmy jeszcze mało fortunną, ostatnią chronologicznie publikację wierszy Bujnowskiego: „Przychodzę z mroków”. Jest to wybór poezji wydany przez Agencję Wydawniczą Lawsonia. Opracował go Marek Jędrzejewski wybrawszy 38 utworów spośród wierszy przedwojennych, wojennych i wydanych na emigracji. Zasłużył się w ten sposób przypomnieniem tekstów trudnych do znalezienia, a ważnych. Niestety publikacja ukazała się w bardzo bylejakiej postaci, roi się w niej od błędów, których ani połowy nie uwzględniła załączona errata. Przy tego typu poezji jest to fatalne niedociągnięcie. Nie budzi też większego zaufania zbyt pospiesznie nakreślone słowo wstępne pt

„Samotność poety”.

Jeszcze w roku 1945 w Matino we Włoszech Bujnowski napisał krótką powieść „Koła w mgławicach” poświęconą towarzyszowi broni, utalentowanemu grafikowi Ryszardowi Kopyściowi, który zginął pod Monte Cassino. Przez kilkadziesiąt lat autor usiłował zainteresować swoim manuskryptem wydawców emigracyjnych i krajowych bez rezultatu. Nagle w liście z 9.5.1992, doniósł

> Część mojej prozy literackiej „Koła w mgławicach” opublikowała „Arka” krakowska wraz z wywiadem – ale o wydaniu całości marzyć trudno, bo jakoś pośrednio zahaczam o kołtuństwo i głoszę hasła „przeciw wojnie”.

Rok później jednak z wielką radością komunikował, że jego powieść znalazła w Polsce zainteresowanego wydawcę, który ją opublikował w Krakowie w 1993 roku.

„Bujnowski wywarł podobno znaczny wpływ na młodsze pokolenie emigracyjnych poetów”, napisał – jak widać nie bardzo pewny swojej opinii Piotr Kuncewicz. Wielu z nas, nie ulega kwestii, docenia rozsądne i uprzejme słowa Bujnowskiego. Również pamięta troskliwe zainteresowanie i pomoc. On nam wskazywał inne, nowe wzorce. Sam był przykładem awangardzisty poszukującego z uporem świeżego, trafnego

słowa i odkrywczej formy. Promieniował respektem dla Kridlowskiej szkoły krytycznej, lecz nikomu, o ile dobrze pamiętam, własnych preferencji nie narzucał. Respektował osobowość twórczą każdego. Usuwał rażące błędy, mógł sugerować inne wersje. Nie powstanie o nim złośliwa anegdotka jak ta kojarzona ze Stanisławem Balińskim, który długo przetrzymywał zbiór wierszy Bronisława Przyłuskiego, a potem je odesłał przepisane na modłę Skamandra.

Józef Bujnowski, fot. arch. Heide Pirwitz-Bujnowskiej, żony poety.

Bujnowski nie ukrywał swojej krytyki skamandrytów i nieraz wypowiadał się o ich poetyce ostro i dobitnie. Miał swoich mistrzów, demonstrował ich, ale nie nalegał, by ich brali sobie za wzór inni. Młodzi pisarze byli świadkami ustawicznego dążenia Bujnowskiego do ubierania przeżyć artystycznych w nowy wyraz. Widzieli jego niezgodę na powielanie utartych form, cenili unikanie maniery, próby realizowania ambitnych teorii, pracę nad metaforą. Bujnowski więc swoim własnym przykładem, a

także ofiarnością i bezinteresownością wobec młodych, wpłynął na nich, na ich ukształtowanie i wybory. Bliski im był jego brak ostentacji i skromność. Sympatyzowano z jego koncepcją poety:

> […] nie natchnione medium, przez które „płynie strumień piękności” – jak to było jeszcze u nadrealistów – ale świadomy artystycznych celów architekt na zimno organizujący swój artystyczny materiał w świadomą celów budowę…

Nie uszła naszej uwadze jego dbałość o rytm i rapsodyczny styl recytacji jako ważny element poezji. Respektowaliśmy go na pewno za jego pogodne patrzenie na sztukę, która „..lubi i umie dostarczać ludycznych doznań, że sztuka jest chora, jeśli nie potrafi się śmiać…” Do innych jego ulubionych teorii ustosunkowywano się różnie, ale brano je pod rozwagę. Należało do nich podejście krytyczne do twórczości. Pomni na jego *dictum*, że historia literatury ma traktować o literaturze, a nie o literatach, mogliśmy się spierać o to, czy istotnie analiza liryki musi być „bezosobowa”, że nie można uzupełniać biografią utworów lirycznych, a utworami lirycznymi biografii.

W 1988 roku Bujnowski otrzymał nagrodę Związku Pisarzy

Polskich na Obczyźnie za całokształt twórczości. Za poświęcenie życia nauce polskiej na emigracji, dopowiedział dr Zdzisław Jagodziński. Sam laureat m.in. oświadczył

> […]już w Wilnie wiedziałem, że w tradycyjnych formach nie da się wyrazić prawdy o współczesnej rzeczywistości. Te wczorajsze formy są cudowne, ale skamieniałe i już nieżywe.

Urodzony 18.3.1910. w Okolicy-Rudawie na Wileńszczyźnie poeta po ukończeniu szkół w Brasławiu i Dziśnie, zapisał się na filologię polską na Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie. (Warto tu wspomnieć, że przedtem uciekł na kilka miesięcy na przełomie lat 1926-27, by zakosztować cygańskiego życia jako członek aktorskiego teatru „Reduta" żyjąc we wspólnocie i grając pomniejsze role). Ukończywszy magisterium, pracę doktorską poświęconą kompozycji utworów dramatycznych Stanisława Wyspiańskiego rozpoczął pod kierunkiem profesora Manfreda Kridla. Przerwany przez wybuch wojny przewód wznowił i ukończył i z akceptacją na rok przed śmiercią profesora Kridla. Metody wileńskiego promotora ukształtowały jego podejście do badań naukowych i tej szkole (Kridla i Wójcickiego) przy pewnym zindywidualizowaniu pozostał lojalny. O wartości dzieła literackiego decydowały wyłącznie składniki artystyczne i ich

kompozycja.

Józef Bujnowski (z prawej) i prof. Andrzej Żaki na tarasie Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie, fot. arch. Heide Pirwitz-Bujnowskiej, żony poety.

Profesor Alicja H. Moskalowa, która pod kierunkiem Bujnowskiego napisała pracę doktorską poświęconą poezji, w wykładzie inauguracyjnym na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie w 1998 roku wyodrębniła szereg cech charakterystycznych dla jego naukowej i poetyckiej postawy. Pozwolę sobie tu je w skrócie przytoczyć.

1. Badania nad literaturą jako taką, czyli nad twórczością

artystyczną wyrażoną w słowach, a nie nad życiem prywatnym literatów i wpływem ich życiorysów na jakość słowa poetyckiego.
2. Analiza utworów pod kątem ich wartości estetycznych, pod kątem ich struktury, a nie zajmowanie się wartościowaniem utworów literackich, szczególnie z punktu widzenia ich przydatności narodowej, czy też tzw. zamówienia społecznego.
3. Służebność sobie a muzom (wierność sobie?), a nie służebność wobec idei/ideologii pozaliterackich.
4. Bunt przeciwko tradycyjnej poezji.
5. Awangardowość i związane z nią eksperymentowanie słowem, formą i układem graficznym wiersza.

Piętno tego warsztatu krytycznego odpowiednio modyfikowanego dostrzec można we wkładzie Bujnowskiego w monumentalne dzieło powstałe pod redakcją Tymona Terleckiego „Literatura polska na obczyźnie 1940-1960” p.t. „Esej, szkic literacki i krytyka artystyczna w literaturze polskiej na obczyźnie 1940-1960”. Znakomitą pracę „Przemiany we współczesnej poezji polskiej. Trzy wykłady”, wydrukował miesięcznik „Kontynenty” w 1964 i 1965 roku. PUNO wydało ją w osobnym zeszycie w 1968 roku. Godzi się też wspomnieć jego kontrowersyjny szkic „Niektóre uwagi o tzw. IV Systemie wersyfikacyjnym” (1973). Poezja konkretna doczekała się również fachowego opracowania jego pióra. Nie sposob

wymienić wszystkich rozpraw i szkiców w książkach zbiorowych i naukowych czasopismach. Niektóre z nich ukazały się w języku niemieckim i holenderskim.

Prace naukowe są owocem jego długoletniego stażu jako pedagoga. Już w Polsce zatrudniony był w szkolnictwie średnim, uczył potem we Włoszech żołnierzy polskich. Zorganizował filologię polską na uniwersytecie w Amsterdamie, gdzie wykładał literaturę polską i teorię literatury przez osiem lat, jeden semestr wykładał w Heidelbergu, przez jakiś czas w *School of Slavonic and East European Studies* w Londynie. Na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie był czynny przez przeszło trzydzieści siedem lat jako wykładowca akademicki, dziekan i członek senatu. Był świetnym nauczycielem, który potrafił sobie zaskarbić wdzięczność i pamięć uczniów i studentów.

Udzielał się również społecznie prezesując Polskiemu Towarzystwu Naukowemu, piastując godności w Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, organizował kongresy i zjazdy, redagował książki . Miał wielki szacunek dla instytucji akademickich i lojalnie im służył. Był jednym z najgorętszych obrońców integralnośći PUNO, kiedy zaistniał zatarg i czasowe przejęcie steru i sekretariatu przez osoby niewłaściwe.

Mieszkając przez wiele lat w tym samym mieście, widywaliśmy się często, a kiedy później odwiedzałem Londyn, chętnie

korzystałem z gościnnego domu Józefa i Heide Bujnowskich. Wyjazd z Anglii na stałe w roku 1969 spowodował potrzebę korespondencji i tak, po powrocie Bujnowskiego z Holandii, wymieniliśmy sporo listów. Dużo było w nich spraw zawodowych, wiadomości o Wydziale Humanistycznym, którego przez wiele lat Bujnowski był dziekanem. Były raporty z zaocznych studiów i egzaminów, które prowadziłem w Kanadzie. Dyskutowaliśmy sytuację w PUNO, kiedy znalazło się w kryzysie i trzeba było dać odpór uzurpatorom używającym uniwersytetu do swoich celów. Wymienialiśmy listy w sprawie programu Kongresu Wolnej Kultury Polskiej w 1985 roku oraz mojego w nim udziału. Informowaliśmy się o powstawaniu Niezależnego Instytutu Naukowego, wreszcie o sytuacji w Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Nic dziwnego, że przy takim natężeniu spraw publicznych cierpiała twórczość literacka. O niej były w listach nieomal same utyskiwania, jak to ona musi czekać na lepsze czasy. Raz po raz trafiały się wtręty:

> […] trzeba wydać w końcu różne „finicjały”, które od dziesięciu lat leżały pogardliwie odrzucane do szuflady wobec „poważniejszych” zajęć.

W tym samym liście (z roku 1979) Bujnowski dodał kryptycznie:

> […] te „rzeczy mało ważne” będą kiedyś najważniejsze.

O innych autorach rzadko wspominał. No, boczył się kiedyś na Marię Danilewiczową Zielińską, której przypisywał wprowadzenie zamieszania do pisania o literaturze emigracyjnej.

> Pytasz robi coś takiego z Garlińskim: wszystko to amatorszczyzna. Czytałem próbny tekst o poezji i nie zachwyciłem się: słabe!

Nie był też zwolennikiem „Słownika literatury polskiej XX wieku” wydanym przez Ossolineum. Komentował: „A wstyd! Nic o nas nie wiedzą!”. Kiedy indziej doniósł:

> Straszliwie został zjechany w kraju Jerzy Niemojowski, a pod niebiosa go wynosi mój Tymoteusz Karpowicz! Quod homines tot sententiae!

W styczniu 1999 roku przyjechała do niego do Londynu Telewizja Polska, aby zrobić z nim wywiad na temat Teodora Bujnickiego. Powinna była również, czy przede wszystkim, zrobić wywiad na temat Józefa Bujnowskiego. Jest winna bardzo poważnego

uchybienia.

Józef Bujnowski, doktor honoris causa PUNO, kawaler Krzyża Walecznych i orderu Polonia Restituta, zmarł w Londynie 15 lutego 2001 roku.

Józef Bujnowski (z lewej) i Florian Śmieja, fot. arch. Heide Pirwitz-Bujnowskiej, żony poety.

Andrzej Julian Żaki *(1923-2017) – polski archeolog, członek*

Polskiej Akademii Umiejętności, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie oraz Uniwersytetu w Limie. Prowadził wykopaliska m.in. na Wawelu, Przemyslu, Czorsztynie, Nowym Sączu odkrywając liczne zabytki z epoki przedromańskiej i romańskiej (na podst. wikipedii).

Pierwsza część:

https://www.cultureave.com/trzeba-zrozumiec-porzadek-rzeczy-jozef-bujnowski-1910-2001-czesc-i/

Trzeba zrozumieć porządek rzeczy.

Józef Bujnowski (1910-2001). Część I.

Florian Śmieja

Kiedy na jesieni 1950 roku przyjechałem do Londynu jako świeżo upieczony absolwent filologii angielskiej i hiszpańskiej Narodowego Uniwersytetu Irlandii w Cork, społeczność polska czekała niecierpliwie na rychłe otwarcie kursów filologii polskiej w ramach Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (PUNO). Na tych wykładach obok wytrawnych profesorów sprzed wojny jak: Władysław Folkierski, Stanisław Stroński, Zygmunt Zaleski, gen. Marian Kukiel czy Mieczysław Giergielewicz, poznaliśmy młodszych pracowników, którzy jak w wypadku mgr Józefa Bujnowskiego, poety i polonisty, po przebyciu całej kampanii włoskiej z II Korpusem gen. Władysława Andersa, a przedtem po doświadczeniu więzień i łagrów sowieckich, palili się do pracy z młodzieżą polską.

Józef Bujnowski, Teheran 1943 r., fot. arch. Heide Pirwitz-Bujnowskiej, żony poety.

Jako wychowanek Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, oprócz sumiennego prowadzenia zajęć dydaktycznych w ramach wybranych studiów, zachęcał swoich słuchaczy do dodatkowych aktywności. Na wzór Wilna zaproponował, by studenci założyli Koło Polonistów. Na spotkaniach tego Koła, na które przychodzili głównie studenci PUNO, ale także osoby z zewnątrz, Bujnowski, który z przyzwoleniem dziekana Stanisława Strońskiego, został *de facto* opiekunem Koła, mógł przedstawić swoich ulubionych

poetów i zapraszać nas do analizy poszczególnych wierszy po raz pierwszy przez nas spotykanych autorów: Józefa Czechowicza i Stefana Borsukiewicza. Był to rok 1951. Już taki wybór dawał okazję do poznania poezji najnowszej, młodym nie znanej. Pamiętam jak przykładaliśmy się do sumiennego rozbioru i komentarza proponowanych, odręcznie przez Bujnowskiego przepisywanych na osobnych kartkach, tekstów poetyckich. Podziwiałem wtedy, dobrze to pamiętam, solidną pracę Wandy Chruściel, a wśród swoich papierów nadal przechowuję opatrzony adnotacjami, skrupulatnie komentowany przez Bujnowskiego, tekst wiersza Borsukiewicza. Może znamienne jest, że takie właśnie nazwiska patronowały początkom teoretycznego zainteresowania, a następnie powstawaniu pierwszych naszych własnych wierszy.

Niektorzy członkowie Koła nie tylko czytali, studiowali i dyskutowali lekturę, ale sami pisali wiersze, które mogli drukować na otwartych dla nich łamach „Życia Akademickiego", strony w katolickim tygodniku społeczno-kulturalnym „Życie", redagowanym najprzód przez Józefa Kisielewskiego, a potem przez Jana Bielatowicza i Jana Tokarskiego. Ta studencka strona miała swojego redaktora i stała do dyspozycji młodych Polaków studiujących w Anglii, a zwłaszcza w Londynie. Z czasem strona stała się osobną wkładką, a w końcu odrębną publikacją. Koło Polonistów dało tym początek pisma młodych współpracowników, a potem redaktorów.

W swej aktywności kulturalnej na rzecz młodych Polaków, którzy licznie pojawili się w Londynie zaraz po zakończeniu działań wojennych, Bujnowski poszedł jeszcze dalej, zakładając Polskie Towarzystwo Literackie, PTL, pewnego rodzaju spółdzielnię autorską mającą umożliwić drukowanie przede wszystkim tomików poezji ludziom nie mogącym liczyć na dotacje, a nie dysponującym dużymi środkami materialnymi. W ramach samopomocy na zakupionych przez Bujnowskiego prostych maszynach drukarskich zainteresowani mogli drukować, ręcznie składać tekst, odbijać go, ciąć papier i zszywać swoje książki, głównie debiuty. Była to akcja pożyteczna i cenna z uwagi na połączenie czynności pisarskiej z poważaną tradycyjnie sztuką drukarską. Nazwa budziła zastrzeżenia czułych na nazewnictwo polskich kół emigracyjnych. Może dlatego, a także z powodu wyjazdu Bujnowskiego do Holandii na uniwersytet w Amsterdamie, instytucja wydawszy garść debiutów: wierszy Wojciecha Gniatczyńskiego, Zygmunta Ławrynowicza i Floriana Śmieji oraz tomiki Jerzego Niemojowskiego i Józefa Bujnowskiego, przestała istnieć. Niemniej, raz jeszcze inicjatywa dynamicznej osoby stworzyła fakty dokonane, które umożliwiły kilku osobom przejście przez poetycki chrzest bojowy, a ich debiuty stały się zapowiedzią dochodzenia do głosu młodego pokolenia dojrzewającego poza granicami Polski, a przecież z jej kulturą najintymniej związanego. Bujnowski nie tylko opiekował się troskliwie adeptami pióra, pomagał im wydać pierwsze książki, ale ponadto nie uchylał się od ich propagowania na

forum publicznym. I tak na wieczorze autorskim trzech debiutantów: Wojciecha Gniatczyńskiego, Zygmunta Ławrynowicza i Floriana Śmieji w Ognisku Polskim w Londynie 27 kwietnia 1954 roku pod przewodnictwem profesora Stanisława Strońskiego, właśnie Józef Bujnowski wygłosił słowo wstępne.

Pięćdziesiąt lat własnej twórczości poetyckiej Bujnowski zaczął publikacją tomiku „Pęknięty tor" w 1937 roku w Bracławiu, ostatni zbiór, „Spod gwiazdozbioru Wielkiego Psa", wyszedł w Warszawie w 1987 roku. W sumie było ich czternaście. Także w Warszawie w 1993 roku wyszedł „Wybór poezji". Wydać by się mogło, że to dużo i że powinny się były zsumować w poważne dokonanie poetyckie. Rzecz wszakże ma się inaczej. Jego dzieło rozdzieliła cezura wojny, a potem, na margines odsunęła praca pedagogiczna i społeczna oraz twórczość naukowa.

Dwie przedwojenne publikacje zapowiedziały przyszłego czupurnego poetę. Ich tytuły „Pęknięty tor", a zwłaszcza „Pięścią w twarz – kwiatami pod nogi" ogłaszały przekorny bunt młodego entuzjasty, który szykował się do potrząsania „nowości kwiatem" i zwalczania zastałych form poetyckich. Jako prezes Klubu Błękitnych stanął po stronie Awangardy Krakowskiej w walce z konwencjami i zamkniętymi strukturami panującej poetyki.

Potem była wojna, front, więzienia sowieckie i łagry, wojsko

polskie na Bliskim Wschodzie. Następny tom ukazał się dopiero w Palestynie w 1943 roku. Były to „Ręce od brzegu”, a w 1945 r. wyszły „Brzozy w płomieniach”, proza poetycka i cykle wierszy żołnierskich oraz „Powroty”, nazwane tak od tytułu trzeciego z cyklów wierszy tomiku, wierszy już pisanych na tematy ogólne, wydanych w Hanowerze w 1947 roku. Motywowany podniosłością czasów, Bujnowski w dwu pierwszych zbiorach podjął tematykę wojenną, żołnierską, łącząc ją z poetyką awangardową. Rozumiał, że była to czynność nieomal bezwiedna, żywiołowa, potrzebna, o historyczno-społecznej wartości. Te teksty wychowywaly, uświetniały okazje, podnosiły na duchu. Jeżeli przytrafiały się poetyckie wartości, to nie one były najważniejsze. Był to obowiązek chwili, jak się miał później wyrazić „los stanowił o kreowaniu słowa i od tego nie ma ucieczki”.

Powstanie już w Londynie osobliwego tomu „Odsyłacz w bezsens” w 1955 roku autor tłumaczy w wywiadzie udzielonym po latach Wojciechowi Ligęzie (Arka 34):

> W pierwszej fazie to nie był eksperyment zamierzony – to był przypadek. Znalazłszy się w Anglii, w polskiej szkole dla już dorosłej młodzieży, położonej w powojskowym obozie, gęsto zalesionym, gdzie nocami hukały sowy i przebiegały drogę bażanty, w okresie tuż – powojennym, w sytuacji wojny

> bohatersko przegranej, trudno było o sielankowy spokój i pogodę ducha. Na urwanych szpargałach papieru, na marginesach książek i zeszytów, podczas posiedzeń pedagogicznych, na lekcjach i w przeróżnych okolicznościach – pisało się jakieś bazgroły, bez zamiaru użycia ich na serio jako utworów poetyckich. Ale nazbierało się tego sporo i pewnego dnia spróbowałem to odczytać. Była to pierwszorzędna zabawa: odkryłem w tych bazgrołach mój onegdajszy niepokój, właśnie w tym rozłożeniu słów i wersów, w odwrotnych i poprzestawianych literach. Zastanawiałem się, co z tego uratować, jak to w przyzwoitym kształcie przedstawić. I każda próba była klęską: (…) niepokój wymykał się bezpowrotnie, ginął. Zdecydowałem się go zatrzymać. Przetłumaczyłem szpargały na maszynopis. Później mój Krzysio Gostyński maszynopis przełożył na skład zecerski.

Pamiętam zacnego Krzysztofa Gostyńskiego, zecera, miłośnika poezji, bardzo przywiązanego ucznia Józefa Bujnowskiego i motocyklistę. Motocykl to była inna jego, bardziej niebezpieczna, pasja.

Józef Bujnowski, Włochy 1945 r., fot. arch. Heide Pirwitz-Bujnowskiej, żony poety.

Napisaną w 1949 roku igraszkę poetycką „O kobietach, diabłach i rycerzu” ogłoszoną w londyńskich „Pokrzywach” w 1958 roku wydało PTL w 1964 roku. Autor uważał, że obok „Ballady o chorym księżycu” Beaty Obertyńskiej był to jedyny utwór żartobliwy, który ukazal się na emigracji cierpiącej na przesadną powagę swojej poezji. Znamienna też jest historia innej jego publikacji, „Lipowego witraża” z roku 1954. Ten tomik zawierający piętnaście utworów powstał dzięki zachciance

byłego ucznia Bujnowskiego, który na małej drukarce postanowił wydać tomik wierszy, a otrzymawszy przyzwolenie autora, teksty sam zredagował i wydał opatrując własnym tytułem..

W innych zbiorkach Bujnowski buńczucznie celebrował swoją wolność poety nie krępowanego zwalczanymi konwencjami. Ale czy nie stwarzał innej, własnej?

> Ja:
>
> Prezydent Metafory
>
> Burmistrz Elipsy
>
> Magnificencja Oxymoronu
>
> Erektor Poetyckiej Licencji
>
> ogłaszam
>
> .....
>
> KONSTYTUCJĘ RZECZPOSPOLITEJ POEZJI

Podkreślał niezwykłą wagę przykładaną do swojego dzieła. Był świadomy wielkości aktu twórczego pisania poezji:

> Kładę znak słowo
>
> tak wiele
>
> dźwięk i znaczenie
>
> symbol i struna i tęcza
>
> stylizowana:
>
> papierowy kwiat
>
> i ściana
>
> za którą stoję ja:
>
> józef bujnowski

Postronny obserwator wyciągnie wniosek, że wiersze Bujnowskiego powstawały na marginesie innych zajęć zawodowych i prywatnych, że ukazywały się nieraz przypadkowo, że nie mamy do czynienia z poważną, systematyczną twórczością i publikowaniem. Wymowna duża luka powstała między rokiem przedostatniej publikacji poetyckiej w 1964 r. a ostatniej w 1987 r. Zapewniał autor, że nie była to przerwa w twórczości, ale poniechanie publikowania tomów wierszy. Nie godzi się także z zarzutem, jakoby jego zajęcia pedagogiczo-naukowe zdominowały w nim poetę. Powołuje się na pojedyńcze wiersze, które wtedy napisał, choć nie ukazała się żadna nowa książka poetycka. Sugeruje, że pedagogika i poezja uzupełniały się nawzajem.

Niemniej, ta długa luka jednak o czymś świadczy, choć autor próbuje ją racjonalizować. Wskazuje na sytuację zagubienia, znalezienia się na rozdrożach. Sceptycyzm, co do sensu ogłaszania nieomal prywatnych druków na emigracji, mógł był ścierać się z rosnącymi ambicjami znalezienia się w normalnym polskim obiegu, którego możliwości zaczęły się rysować na horyzoncie. To, co dawniej było mocno krytykowane, co było nie do pomyślenia, stawało się realne. Pierwsze niecenzurowane tomiki emigracyjnych poetów zaczęły się ukazywać w Polsce. Bujnowski przeczytawszy u Piotra Kuncewicza, a więc w

publikacji, którą cenił, że należy do poetów nieznanych, mógł także zapragnąć znaleźć się na polskich półkach. Ale z czym? Czyżby jego utwory na wpół eksperymentalne, a na wpół żartobliwe były właściwą wizytówką dla polskiego czytelnika, który przedtem o poecie nie słyszał?

Te lata niepublikowania świadczą, sądzę, o rozterce. Owszem, ważne zajęcia i praca nie tylko pedagogiczna, ale także naukowa były przeszkodą, ale również pretekstem do pauzowania w publikowaniu poezji. Moim zdaniem poeta powoli przechodził na inne pozycje. Nie sprzeniewierzając się awangardowym predylekcjom, zaczął pisać na inny sposób, łacniej nawiązując z czytelnikiem kontakt. Znalazł nieobowiązujący, niekoturnowy ton, beztroski humor i bezpośredniość, których brakowało jego eksperymentującym, konstruowanym wierszom.

Pojawiła się w nich dojrzała nonszalancja, która zaowocowała utworami podobającymi się, kto wie, czy nie najlepszymi, bo właśnie spontanicznymi, samorzutnie powstałymi na długo kultywowanym podłożu, gdzie erudycja, lekkość i żart splotły się w pamiętny sposób. Ten zbiorek, wydestylowany długim ugorowaniem, dobrze anonsował poetę Bujnowskiego nowemu czytelnikowi w Polsce. Ponadto ukazanie się „Spod gwiazdozbioru wielkiego psa” w 1987 roku stało się podwójną niespodzianką. Tom wyszedł nakładem znanego wydawnictwa. Drugim zaskoczeniem jest inność zaprezentowanych utworów.

Są różnorodne formalnie, pogodne, atrakcyjne. Wcale nie taki skromny to tomik jak twierdzi jego autor. Brakuje książeczce przedmowy, zbyt ascetycznie wypadła nota na tylnej okładce, choć podaje tytuły wszystkich tomów poetyckich, za co wydawcom chwała.

Pierwszy utwór „Miasto po latach” aczkolwiek bez szczególnego adresata jest pewnego rodzaju wyznaniem poetyckim. Nie chce autor być piewcą urbanistyki, ani zabiegać o poklask plebsu:

> Wolałbym już
>
> kasztel wznosić na żart
>
> zwodzony most
>
> za murami
>
> mojej
>
> ekskluzywnej
>
> estetyki

Mieszkańców tego Babilonu ukazuje z kolei Bujnowski niby postacie w tańcu śmierci przepowiadając im śmieszność i przemijanie. A nauka?

> Ważny jest każdy krok
>
> chyba
>
> każda sekunda
>
> dana ci w podarunku

Były to jeszcze czasy czujnej cenzury, która usunęła z wiersza „Choć nie ma tu miejsca na pogardę” ustęp:

> w którym straszą
>
> maski

> Hitlerów
>
> Stalinów
>
> Rooseveltów
>
> Churchillów
>
> namiestników bożych na ziemi

Dalszy ciąg ukaże się we wtorek, 19 marca 2019 r.